

Radostaw Lemański

Wielkość

2012



WYDAWNICTWO
DRZEWO
LAUROWE

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

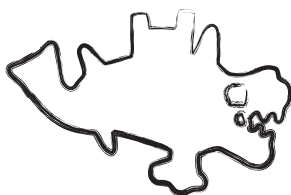
Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [E-ksiazka24.pl](#).

**Wędrowka
2012**

Radosław Lemański

Wieloletnik

2012



Redakcja: Radosław Lemański
Korekta, skład i projekt okładki:
Assembly
ul. Jesionowa 31
33-300 Nowy Sącz

Copyright© by „Drzewo Laurowe”, Zielona Góra 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabronione jest powielanie i rozpowszechnianie za pomocą dowolnych środków, w tym kopiowanie, reprodukcja czy odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki na wszelkich polach eksploatacji bez pisemnej zgody posiadaczy praw autorskich.

All rights reserved, including the right of reproduction in whole or part in any form.

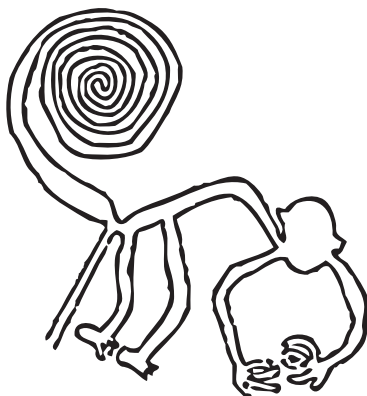
Printed in Poland

e-Book Wydanie I
Zielona Góra 2010
ISBN: 978-83-930440-8-5

Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”
Zielona Góra
Księgarnia Internetowa „Skryby”
e-mail: redakcja@skryby.pl
www.skryby.pl

Przyjacielowi Bartkowi Jankowskiemu,
za wiarę w moje pisanie
i niestrudzonemu wędrowcowi,
Michałowi Banasiowi

ROZDZIAŁ PIERWSZY



Początek Zdobrzeń

*Polska, Zielona Góra
Godzina zero zdarzeń*

Do tego czasu piąłem się w górę i w dół, wszerek i wzdłuż, na boki, w pionie i poziomie. Ślimaczyłem się zażyłą codziennością dni pochmurnych i bezmiarem szczeroci obcej wszelkim słowom prawdy, pierwszego ślimaka na drodze. Codzienną wędrówką po mchem pokrytych posadzkach zmarzniętego bruku i wesołych odbiciach skośnookich znaków drogowych. W wędrówce tej zaznaczyłem swoją obecność, w myślach gorzkich i szczeżujowatych, spychanych radosną pogonią za nieznanym wschodem nowego krajobrazu. Płacza zmyślnych sufitów i sprytnych, wciąż zamkniętych klamek, znały mnie równie dobrze, jak nagle promyki ożywczych strumieni przeplatanej nadziei. Jeszcze głosy nie umilkły od rozsiewanych przez media poklasków i nieustających klekocących wywiadów, jeszcze płynęły potoki natchnień dla opisujących sumę zdarzeń pisarzy i bazgraczy.

Z dnia na dzień jednak wszystko zostawało zmienione, rozdrobnione i przełknięte przez wąskie gardła historyków, rozkładających każdy kęs na czynniki pierwszego zacynu. Obraz zaczynał się zamazywać, zdarzenia uziwyczajniać, trawić, by zaznaczyć swoją obecność w karnym szeregu niezliczonej ilości encyklopedycznych tomów w każdej szanującej

się księgarni, potem bibliotece, później kiosku, aż wszystko znalazło swoje miejsce na jednej z niezliczonych półek, rosnących jak grzyby po deszczu hiperextrabig marketów, leżąc jako ogólnie dostępne wśród pachnących mydełek i kolorowych do tyłka papierów, by służyć za naturalnie lekkie antidotum na codzienne wzdęcia.

Dawna prawda nie była już dawna, za to pospolita i zwyczajna, jak niezwykcyjne stało się noszenie kalesonów w ciemną i zimną wieczorową porę. Niektórzy mówili, że już po mojej twarzy można się było domyślić, że byłem poetą. Inni domyślali się tego po moich dziwacznych wynurzeniach. W każdym razie, jak cała rzesza innych początkujących bazgraczy, skrobałem coś od czasu do czasu, ale nie przynosiło mi to jednak spełnienia. Zbyt często smutek mnie ogarniał. Chwilowy jednak, bo wiedziałem, że taka jest rzeczy kolej i spirala przeznaczenia kieruje mnie ku nowym początkom wciąż tych samych, pączkujących nieustannie zdarzeń i odkryć. Co bardziej utajemniczeni w zawilości mej prywatności wiedzieli, że radość upatruję w zajmowaniu się sprawami daleko bardziej ulotnymi i pokręconymi, co skrócić można do modnego obecnie „rozwoju duchowego”. Zrozumiałe więc, że wzlatując coraz bardziej w sprawach ducha, coraz mocniej pchała mnie znowu rzeka zdarzeń ku wirom, do podświadomości, by w nowym świetle ujrzeć i przeżyć wciąż to samo znajdowanie i tracenie. Jak głoszą mądre księgi świata tego, należało wyłać stare i oczyścić sadzawkę, by znów usłyszeć śpiew światła. Ale dość księgi. Ja po prostu wiedziałem to. Przy całej pokręconości mej psyche, czułem, że nastąpi. Tak samo czułem, jak wówczas, w tych momentach właśnie, które kazały mi się uważniej przyglądać rzeczywistości, jakbym za chwilę miał ujrzeć znak niezwykcyjny, zapraszający do nowej wędrówki. Jak

zwykle wiedziałem, że będziemy wędrować razem, w grupie i że grup takich będzie bardzo, bardzo wiele. Miejsca święte i zupełnie pospolite kioski z piwem, szkolne ławy i przepastne okopy dębowych biurka – wszystko to nagle rozpadało się na drobny mak i pojawiała się Ręka. Zapraszała. Mrużyłaś oczy. Mlaskałaś. Dostałaś po łbie. Modliłaś się. Lewitowałaś. Gotowałaś obiad. Płakałaś. Kochaliście się. Patrzyłaś z góry na ziemię. Właśnie przychodziłaś na świat. Kradłaś. Odprawiałaś mszę. Nie martw się. Nie smuć się. Zaufaj. Idź. Wędrówka była nieunikniona. Zwyczajna i święta. Błogosławiona i zakłeta. Rzucałaś wszystko lub zostawałaś. Siałaś i zbierałaś. Niezliczone tłumy i samotni w pochodzie. Nagle ze zdumieniem mogłaś stwierdzić, że nigdy nie byłaś sam, że tylko sam możesz wyruszyć na tą Wędrówkę. I wówczas, gdy już pora była przywdziać – oddać podróżniczy płaszcz, twoja Wędrówka stawała się uświęcona, jedyna. To była Ta Wędrówka. Dobrze pamiętam jej początek. Nagle nie było ciebie. Rozpadało się ciało i był tylko cel: Święta Ziemia. Błogosławione miejsce na Wschodzie, do którego wędrowaliśmy przez długie lata, by później wędrować na Zachód, Północ i Południe. Tak, każdy duchowy Wędrowiec, gdzieś w głębi swej duszy podejrzewa, że prędzej czy później, przyjdzie mu odkryć i przywdziać swój płaszcz i wziąć do ręki wędrowną kostur. Każdemu pisana jest Wędrówka. Poszukiwanie i odkrywanie samego siebie.

Nikt nigdy nie wie, kiedy się zacznie. Można przewidywać na wiele sposobów, wciąż wyczekiwać i odkrywać w wypowiedniach, ale to i tak zausze jest zaskoczenie. Zwyczajny, choć uświęcony początek. Jak wówczas. Po prostu stałem i patrzyłem. Galeria była wielka, ogromna i jak większość galerii obecnych czasów, było tu wszystko, oprócz przedmiotów związanych ze sztuką, rzeźb czy obrazów. Ale mogę się mylić, bo jeśli za dzieło uznać manekiny, to tego nie brakowało. We wszelkich pozach i odmianach. Z głową i bez niej, z jedną i dwoma rękami, z nogami i bez nich, skaczące i pokracznie niby – siedzące. Zachwalały przeważnie sklepy z ciuchami, zręcznie przez specjalistów kreowanymi na znane marki. Poza nimi były nawet w obowiązkowej w takich miejscach kawiarni, z tradycyjną już kawą z ekspresu, sklepiku z markowymi, czyli beznadziejnie drogimi winami, jak i w kilku punktach z nikomu niepotrzebnymi, kupowanymi na prezent dla szefów, bibelotami. Ogólnie sklepy zajmowały dwa piętra, a pozostałe dwa czy trzy, przypadały na parkingi. To one miały być głównym przedmiotem działalności tego budynku. Wielokrotnie poskręcana jednak rzeczywistość sprawiła, że podobnie jak wiele innych działalności gospodarczych w tym pięknym kraju, również i w Galerii, prawdziwym źródłem mamony stał się wielki, snobistyczny market z szeregiem charakterystycznych, szeroko śmiejących się, nie wiadomo czemu, manekinów. Może mniejszy, niż wielki marketo-pałac, w którym od czasu do czasu kupuje swoje bibeloty Jackson, ale wystarczająco duży jak na to miasto, z pnącymi się gdzieniegdzie fortunkami świeżych dorobkiewiczów.

Stałem i patrzyłem, w tłumie wielu bardziej i mniej ga-

powatych gapiów. Piątka chłopaków tańczyła break-dance. Byli niezli. Swojscy. Znałem ich z widzenia i wiedziałem, że ten taniec to ich pasja. Spotykali się kilka razy w tygodniu, by trenować, gdzie się da. Z początku w starych piwnicach, potem gdzieś na salach. Było widać, że lata ćwiczeń nie poszły na marne. Tłum zaczął klaskać w rytm muzyki, do której wyginali ciała. Niemiecka, ostra kapela. Wywijasy, salta i przewrotki. Z początku wychodzili na środek pojedynczo, przez chwilę kręcąc się i samotnie próbując z zimnym marmurem. Potem po dwóch, aż przyszedł moment, gdy wszystkich ogarnął trans. Skok i muzyka. Krokodylek i kankan. Rytm wystukiwany oklaskami tłumu. Okręcanie na głowie. Muzyka. Rytm. Salta i półobroty. Okręcanie na głowie. Muzyka. Okręcanie na głowie. Jeszcze tak niedawno, jeden z nich o przydomku Cichy, kręcił się na głowie dla Papieża. Zaraz po tym przedstawieniu najpierw z innymi, potem jako jedyny z grupy na dłuższy czas zniknął w przepastnych gabinetach Watykanu. Gdy wyszli, jeszcze raz dał pokaz swoich możliwości. Znowu stał na głowie, niczym jedna z postaci kart tarota. Wiedziałem jednak, że nie był już tym samym człowiekiem. Usłyszał właściwe słowo w odpowiednim czasie. Zobaczył Ścieżkę.

Każda wędrówka niesie ze sobą możliwość ujrzenia własnego życia z innej perspektywy. Każda wędrówka wywraca życie do góry nogami. Myślałem o tym nie wiedząc, że sam byłem niczym zbliżająca się wskazówka zegara do dwunastej – zerowej. Lada chwila miał się rozpocząć mój powolny obrót na skali zdarzeń. Po pokazie wszedłem do zatłoczonej kawiarenki. Zapach ciastka, które ktoś gdzieś kiedyś może i jadł, migawka zaokiennego krajobrazu, podobnego mniej lub bardziej, ten sam odcień fragmentu brwi u kogoś w odpowiednim nastrojowo momencie. Wszystko to punkt

zapalny, punkty styczne na sinusoidzie zdarzeń, niczym rozrusznik dla katalizatora wspomnień. Sygnał dla podświadomości, że może już zaczynać podróż pełną wspomnień i nieprzebytej magii. Nadświadomość przygotowuje swój system przez długie lata. Ciuła wzruszenia, etyki etykiety i światło wielu modlitw, by w końcu zapełnić stawik, jezioro, morze, cały ocean wypracowanego poglądu na coś, co wymyka się świadomości. Bardzo należy cenić te chwile, gdy praca do góry ego spotyka się ze zrozumieniem na górze. Umysł tu niepotrzebny. Umysł śpi w najlepsze, delektując się smakiem ciasteczka, fragmentem krajobrazu, dreszczem i deszczem. Długą wędrówkę przeszedł Freud, nim to zrozumiał. Patrząc na to wszystko z nieziemskiej perspektywy, pewnie wciąż nie mógł uwierzyć, że i bezpośrednio do człowieka da się odnieść symboliczna trójka. Pora już była najwyższa na to odkrycie. Lada moment człowiek odnajdzie komputery, komórki i dietetyczne sałatki z niemodyfikowanej żywności, a co za tym idzie przywdzieje sobie długi ogonek kolejki do urzędów pracy. Produkcja psychologów, psychoanalityków, psychiatrów, psychosomatyka, psychika, psyche, psychamowała i odsunęła na pewien czas dowody na istnienie wielu innych liczb w człowieku. Gdzieś tam w ciszy wracano do czterech kończyn, pięciu niczym gwiazda, a zaraz potem i siedmiu przestrzeni, łączonych przez system siedmiu czakramów...

Wędrówka zaczynała się na dobre. Zjadłem ciasteczko. Wypiłem kawę z ekspresu. I wtedy zobaczyłem go po raz kolejny. Wyglądał normalnie, niepozornie, w niczym nie przypominając natchnionego badacza zamierzchłych kultur, zaproszonego na wczorajszy wykład przez miejscowy uniwersytet. To dopiero była sensacja. Odkrycia międzynarodowej grupy archeologów, z udziałem polskich badaczy, nie

były jeszcze znane w tym kraju, jednak wieści o niezwykłym znalezisku zdążyły zelektryzować uczonych i pasjonatów na tyle mocno, że postanowili zrobić wykład, którego był głównym bohaterem. Jego słowa dały pożywkę moim przecu-
ciom. Obudziły we mnie coś nieokreślonego, jakieś mgliste wspomnienie dziwnie znajomych zdarzeń. Jeszcze wczoraj próbowałem je zbadać, uzewnętrznić metodą autohipnozy, ale po raz kolejny natrafiłem na dziwny opór. Blokadę tak silną, że nie pomogły wszelkie próby jej obejścia. Dziwne było również to, że nawet mój duchowy Opiekun, który pomagał mi otwierać drzwi do najdawniejszych wcieleń, tym razem sam bronił mi do nich dostępu: Kilka razy tylko powtórzył, że „Jeszcze nie czas”. Jedyne gdzieś jakby za mgłą, widziałem symboliczne wyobrażenia mitologicznych ptaków i zarys ludzkiej postaci. Jego postaci. To był na pewno On. Teraz to wiedziałem już na pewno. Przeczuwałem, obserwując jego wykład, a teraz byłem o tym przekonany. Nie udało mi się z nim porozmawiać po wykładzie, kłamiąc sam siebie, że to tylko iluzja, złudzenie umysłu, któremu nie należy się poddawać. Jeszcze rano postanowiłem o wszystkim zapomnieć. Normalnie wyjść na ulicę i pozałatwiać kilka urzędowych spraw. Na chwilę tylko postanowiłem wejść do Galerii, obejrzałem występ, wszedłem tu na kawę. A teraz On stoi przede mną. Wysoki facet, w średnim wieku. Ciemny, schludnie ubrany. Wiedziałem, że ma niebieskie oczy, głowę pełną niecodziennych planów. Czekał na swoją kolejkę przy kontuarze i lustrował wewnątrz kawiarenki. To on! Na pewno. Zobaczyłem to trzecim, czy może siódmym okiem. Nieważne, po prostu wiedziałem. Jeśli przecucie mnie nie myliło, to on też coś wiedział. Nasze spojrzenia się spotkały.

Przypomniałem sobie. W nagłym przeblysku olśnienia, które dzieje się wówczas, gdy w grę wchodzi przegna-

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [E-książka24.pl](#).